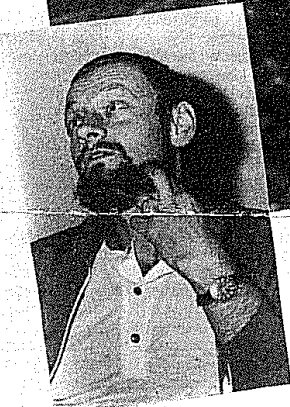




Fot. Tadeusz Zagórzanski

– Wie pan, Kaczmarek, Ratajczak, Zandecki... to ciągle jest ta sama postać. Facet z jajami, inteligentny, wykształcony, który przegrywa, płaci najwyższą cenę za chęć tworzenia, który musi przegrać!, bo porządek świata powoli zabija w nim poczucie sensu własnej pracy, twórczości, działania. To może być wojewoda, szwec, sekretarz, inżynier, naukowiec, każdy.



Fot. Mariusz Stachowiak

Nie powinienem o nich pisać. O Kaczmarsku z „Oficerów” o wojewodzie Ratajczaku z „Próby”, o inżynierze Zandeckim z „Pustyni”. Chor apologetów i krytyków powiedział o tej trojce już wszystko – za siebie i za autora. Tadeusz Siejak jest na tropie. To znaczy, że siedzi w domu pod lasem (na skraju „miasteczka pięknego jak Eden”), daje gżubom obiady i lekko otyka – w marszu między pokojami nadwierzając schorwane sławy. To znaczy, że chodzi do roboty na rano, że znika na kilkudniowych delegacjach. To znaczy, że odbiera telefony ze świata, z informacją o dzwigu, który będzie jutro, z prośbą o wywiad, z wezwaniem na operatywkę u szefa, z pytaniem o faktury. To znaczy, że jest modny: obecny w recenzjach, telefonach i dyskusjach, przelotnie między stronami, między

blotem na budowie Zakładu i krajowym papiernictwem, operatury.

Przed godziną zaparza mi kawę, potem jeszcze dwie herbaty. Potem gżuby robią kolację i przypalają grzanki. Gadamy.

KIEDY

... go wkurzam jakimś durnym pytaniem, cały jest napięty w nerwach, a zaraz później w słowach. Poności Siejaka.

Kiedy mówimy o rzeczywistości, o zaspanych mięczakach, którzy w siraclu przed zyciem boją się otworzyć oczy i wychynąć spod ciepłej poscieli.

Kiedy mówimy o Zakładzie, o tym, co mogły i czego nie robi, i szerzej – o melodie rżadzenia, która polega na tym, by robic tak, aby nic nie zrobic, co wścieka go niemożliwością.

Kiedy tłumaczy mi, że chciałby wziąć udział w wielkim czynie przebudowy świadomości czasiskowej na globalną i dodaje: „Amen: kurwa, ale wielkie słowa”.

Kiedy wychodzi na to, że Tadeusz Siejak jest zapartym stalinowskim dogmatykiem, czemu skwapliwie zaprzecza.

Z rachunku wynika, że w czasie rozmowy ponosi go średnio cztery razy.

WYSOKI

... i szczupły. Ma brode, ale bez żadnej ekstrawagancji, przycięta. Ma żonę, troje dzieci, stary gramofon i fotografie kulturyistów – swoich idoli z lat wcześniejszej młodości – którymi uszlachetnił gołe ściany półpietra. Po ojcu odziedziczył skłonność do filozofowania, po matce szajbę na punkcie sadzenia drzew.

To opisze. Do mieszkania Siejaka (osiedle na skraju Chodzieży, taksówka od dworca: 350 złotych) w budynku zakładowym postawionym „łymi rękami”, idzie się kluczacz wśród mrowia drzew. Chudych i młodych, ale drzew. Posadzonych ręką Siejaka lub z jego inicjałami. Poznałem anegdotę: czterolatnia dziewczuszka z osiedla na skraju Chodzieży – do swej rówieśnicy – mówi – a skąd się wziął las? – i słyszy – to ty nie wiesz?! Siejak posadził!

Rozumiem: żeby jako pisarz pił, cpał i żył z siedmioma kochankami ze stypendium związku literatów – to rozumiem, normalny. Ale żeby drzewa? Kulturyista? dom „łymi rękami”? Czyli albo coś nie tego, albo poznaniak.

OFICER POKOLENIA DEZERTERÓW

Poznaniak! Brak fantazji połączony z niezachwianą wiarą w pożytek z solidnej pracy. Jego rodzice dopadli swych serc i ciał gdzieś między Srodą i Zaniemysłem. W czterdziestym dziewięćlatym, na przelomie Panny i Waży, trafił im się mały Siejak, inżynier in spe, przedstawiciel pierwszego pokolenia, które miało patrzeć na świat sponad „jeł, przedłużenie galunku i rodu, krynabny dzieciak, który dorósł do filozofii Teilharda de Chardina i trudnej sztuki sadzenia drzew, nadzieją kryzysowej literatury, Tadeusz, Tadzińek, Tadeuszek, cholera, nie zapytałam, jak na niego wolał w kolycse.

To warto uwzględnić, gdyż, ktoś pisał szczegółową biografię twórcy: Siejak do osiemnastego roku życia nie posiadał w rodzinnym domu ani kawałka telewizora. Chyba przegapił pierwszą emisję „Kłossa”.

Pierwszą książkę zażyłulował „Błękitna Chmura” i była to oczywiście rzecz o Indianach. Stukarkowy zeszył z trzeciej klasy podstawówki, i żadnych błędów ortograficznych. Poźniej jakieś opowiadanko. Potem od razu – chłasi – dziesięć opowiadań w jednym 1973 roku. Zaniesionych do wydawnictwa i odrzuconych. Po dwóch latach ponowił próbę, znowu bez skutku. W siedemdziesiątym siódmym jakimś raporcie w „Tygodniku”, o kulturyistach, o młodych małżeństwach, Wreszcie „Oficer”, wysłany na literacki konkurs „Czytelnika”.

– Po roku odesłał mi go z powrotem. Bez słowa komentarza.

Zmienił firmę. W „Iskrach” przeczytał jego powieść Henryk Berezę. Napisał list do Siejaka natchmianst po skończonej lekturze. Ton korespondencji – wyjątkowo pozytywny.

„Oficer” wyszedł w 1981 roku. Wydarzył się na rynku księgarskim głównie, jak twierdzi Siejak, za sprawą Sierpina. W 1982 roku autorowi powieści wręczono literacką nagrodę imienia Stanisława Piętaka. Niedługo potem Tadeusz Siejak stał się sławny nie tylko dzięki własnej stylistyce i zdobywanym laurem, także – jako przekorny niewdzięcznik. Odsyłał nagrodę za nagrodą.

– Pieniądże „z Piętaka” zwróciłem porażony widokiem brutalnie rozpedzonej demonstracji w Poznaniu. Bezwarunkowy odruch: nie chciałem jeść z tej samej ręki... A później? Poźniej koleży mówili mi – głupi jesteś. Tadek, kiedy przekazałem sto tysięcy złotych z nagrody im. Wyspiańskiego na konto głodujących dzieci Trzeciego Świata. Nie wiem, te nagrody, te pieniądze... czuć było od nich... uwiązaniem. Pooddawałem wszystkim.

Inżynier Siejak włączył mechanizmy obronne. Bo mógł być za bardzo swój. Kupiony. Nagradzany, drukowany na szybkiej ścieżce, zapraszany na młodoliterackie spedy i polityczne wiece. Tolumfacki kilku demurgów z centrali Katalizator. Butor. Zastłona dymna. Palzcie, towarzysze... taki

ostrzy, a z nami w tym momencie czasu. No! Znaczy się, nie jest tak źle, jak tu, prawda, te niektóre jednostki... Wmawiają. No! Tak że ten Siejak jest. Co my go tu mamy. Nasz.

Ag...o!

„PRÓBA”

musiała powstać pod Piłą. Powieści Siejaka odpilić niepodobna, sam autor przestał już reagować na dociekliwe pytania licznych wywiadowców – czy to prawda, że pod każdą postacią kryje się KTOS, pod każdym miejscem COS? A to oznacza, że sekretarz Sołoch to Alfred Kowalski, wojewoda Ratajczak to Andrzej Słowiński, Bartłomiej to Purgiel, „Metalplast” to Złotów, wisiowy polonez wojewody to Piła, że ten to ten, a tamto to to.

W Chodzieży i w Pile rozsyfrowywano „Próbę” z ołówkiem w rękę: obok fikcyjnych wpisywano prawdziwe nazwiska. Literacką próżnię wypielniał grafit rzeczywistości.

– Byłem przekonany, że to, co piszę, nie ukaże się drukami. Pisałem bez zahamowań... Nie mam wyobraźni kreacyjnej, to nie jest tak, że mogę usiąść nad kartką papieru i wylewają mi się ze stalówki pejzaże, charaktery, bzdury. Trawię rzeczywistość w sobie, nie piszę prostych pamfletów na to, co dostrzegam, o czym słyszę w Pile i Chodzieży, ale do diabła, otoczenie twórcy staje się jego tworzywem, od tego nie można uciec! Z trzech nijakich facetów, których znam, spłodzę jednego mocnego. Cechami jednego giganta obdziele pięć mizerot.

Po chwili:

– Popelnilem głupstwo w „Oficerze”. W niewielkim stopniu zmieniłem niektóre realia, charaktery, nazwiska... Skrzywdziłem kilka osób.

„Próba” to był pomysł na kryminal. Pomysł absurdalny, lecz tak nośny, że byłoby grzechem nie skorzystać z niego. Udzielne księstwo piłskie – bez dostępu do morza – życie jego władców, rozgotowane ambicje, polowania, despotyzm – to wszystko rodziło legendę, zapadało w pamięć. Ale powieść Siejaka to coś więcej niż zapis piłskiej paranoi, choć mocno na niej odzworowany.

– Po pierwszym odczytaniu „Próby” mówiono mi: staaary, ależ dokopałeś wojewodzie, aleś im wszystkim dolożył! Nie. Miałem zamiar, lepiej czy gorzej spełniony, pokazać człowieka usiłującego wypłynąć ponad bagno, które wspoliworzył. Pokazać, jak przegrywa ktoś zaplątany w budowę drugiej Polski, jaką cenę płaci za swoją poronioną karierę.

Milczy. Zanim wybuchnie po raz pierwszy, mówi:

– Chciałbym pogadać ze Słowińskim. Kiedyś. Zdobyć się na odwagę.

ZAPALA SIĘ

... przy pierwszej iskrze podniety, Kiedyś przy okazji wojewody Ratajczaka-Słowińskiego mówimy o karierze.